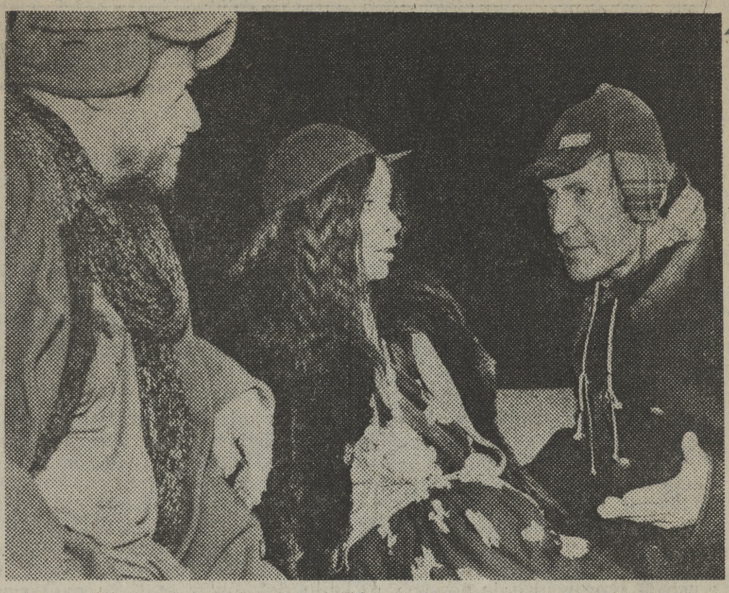

Janusz Michałowski, Maria Ciunelis i Piotr Fronczewski w sztuce Głowackiego Fot. Ryszard Baranowski

Prapremiera Głowackiego w Ateneum

EXPRESS WIECZORNY 17 II 93 Nr 33 (13728)

Na dnie piekła

Ludzki śmietnik. Piekło pośrodku najnowocześniejszej metropolii świata. Ci, którzy tam żyją — a żyją tak czasem latami — mają minimalne szanse, by opuścić je inaczej niż jako nieboszczycy. Wtedy zostaną odesłani na Hart Island i pochowani w anonimowym grobie. To najczęściej narkomani, alkoholicy, różnego rodzaju obłąkańcy i dewianci. Ale oni także — i o tym właśnie mówi Głowacki — są ludźmi, takimi samymi jak inni. Jak my wszyscy.

NA scenie ławka, bezlistne drzewo ze złamaną gałęzią, wysokie ogrodzenie z metalowych sztachet. Z ziemi wznosi się pod butami kurz. Walają się śmieci. Ten zakątek ma ściśle określone miejsce w topografii Nowego Jorku. To Tompkins Square na Dolnym Manhattanie, niewielki park zamieszkany przez bezdomnych. Są wśród nich emigranci.

Główne postacie najnowszej sztuki **Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku"**, której światową prapremierę wyreżyserowała **Izabella Cywińska** w Teatrze Ateneum, to rosyjski Żyd, Polak i Portorykanka.

Bohaterowie „Antygony w Nowym Jorku" pozornie całkowicie dostosowali się do reguł piekła bezdomnych. Żyją tak, jakby nie było innego świata poza jego granicami. A jednak każdy z nich zachował w głębi psychiki sekretny azyl. Nadzieję, bez której nie mógłby istnieć.

Pchełka (Piotr Fronczewski), rodem z podkarpackiej wioski, to odrażający, prymitywny cwaniak. Swoje draństwa maskuje nieustannym błaznowaniem. Przywiązanie, jakie żywi do Saszy, z którym od lat dzieli jedną ławkę w parku, nie przeszkadza mu go okradać. A jednak jest to prawdziwe ludzkie uczucie i kiedy wydaje się, że Sasza może odejść z Tompkins Square, Pchełka przeżywa to jako przerażającą klęskę.

Przypadek **Saszy (Janusz Michałowski)** jest o wiele bardziej skomplikowany. To inteligent, niegdyś artysta malarz z Leningradu. Z trzęsącymi się rękami, kompletnie zalkoholizowany, zachował poczucie moralne i intelektualny dystans do swej sytuacji. To wystarczy, by w pewnym momencie zapragnąć wyrwać się z piekła. Nie wystarczy, niestety, by to zrealizować.

I tytułowa Antygona — Portorykanka **Anita (Maria Ciunelis)**. Najbardziej bezbronna, właściwie półobłąkana, całkowicie sponiewierana przez życie. To ona jest inicjatorką wykradzenia i pochówku w Tompkins Square zwłok niejakiego Johna. Ona też — jak bohaterka tragedii Sofoklesa — powiesi się na ogrodzeniu parku, z którego policja usunie bezdomnych.

Sztuka Głowackiego, którą Jan Kott porównał już do „Czekając na Godota" Becketta, jest znakomita. Poprzedzone lekturą przedstawienie w Ateneum nieco rozczarowuje. Wydaje się, że stonowane zostało okrucieństwo dialogów. A może sprawiła to zbyt doskonała aktorska artykulacja?

IRENA MAŚLIŃSKA